



WARSZAWA

dnia 8 (20) Stycznia  
1875/6 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; pół-  
rocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50.  
Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCJA

przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351.  
(nowy 11).

Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

## Mówią mi....

Mówią mi, że ideały  
To młodości krótki błysk...  
Jednym targiem świat ten cały,  
Prawdą życia — tylko zysk!

Mówią mi, że trzeba w masce  
Ukryć szczery wzrok i twarz,  
Sprzedać prawość możliwych łasce,  
I przy ustach stawić straż.

Mówią mi, że serce... dzieckiem!  
Że ich śmieszają jego łzy,  
Gdy w objęciu mar zdradzieckiem  
Obłąkańców roi sny;  
Że nie miłość, ani wiara  
Ten zgrzybiały wspiera świat,  
Ale waga, ale miara,  
Władza sprytu, cyfr—i zdrać!

Mówią mi, że myśl w człowieku,  
To najpierwsza z zysku sług;  
Mówią mi,—o hańbo wieku!—  
Że cześć mrzonką duch i Bóg;

Że raz oczy przetrzeć trzeba,  
By odzyskać trzeźwy wzrok,  
I nie tonąć w blaskach nieba  
Ale zimno spojrzeć... w mrok!

I pójść śladem za drugimi  
I głos serca rzucić w pył,  
I na wieki sprzedać ziemi  
Niestarganych resztę sił.  
Bo poezya, pieśń, uczucie,  
To blichtr tylko zdrańnych larw,  
W które stroi się zepsucie  
Jak w sukienki cudnych barw!

Mówią mi... o Boże... Boże!..  
Wielki Boże ojców mych!  
Ty mnie usłysz, gdy w pokorze  
Wołam: oświeć, oświeć ich!  
Gdzie ich przyszłość? w jakie progi  
Ten szalony dąży ruch?  
Co u kresu czeka drogi,  
Gdzie nie czeka—Bóg i duch?

M. B.

## Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAL

Kaz. Wł. Wójcicki.

(Ciąg dalszy.)

IV.

W smutnem zadumaniu przebył pan Bonifacy drogę do Warszawy, gdzie już małżonka jego od tygodnia hawiać, najęła piękny apartament przy ulicy Marszał-

kowskiej, na pierwszym piętrze, z dużym balkonem za 1300 rsr. rocznie. Meble przywiezione ze starego olszewnickiego dworu ustawiono w bocznych pokojach, nowe, aksamitem pokryte, stały w obszernym salonie. Od



rana do nocy krzątała się żwawo sama pani z córkami, ażeby mieszkanie z całym wytwornym smakiem urządzić. Gdy pan Bonifacy przybył, już wszystko było gotowe.

Zmęczony nie tyle drogą jak wzruszeniem które przebył, nowy miasta mieszkaniec zasnął twardo, ale zwyczajem swoim rano się obudził.

W domu wszyscy jeszcze spali, bo to była dopiero szósta godzina, duszno mu jakoś było, roztworzył okno, i z pobliskiego Saskiego ogrodu usłyszał muzykę. Ubrał się więc co rychlej i wyszedł na Wody mineralne. Świeżość powietrza, miły chłodek lipcowego poranku, orzeźwiły go; liczne grono strojnych pań i młodych panien, nie mówiąc już o mężkiej połowie publiczności, bawiło jego oczy, a skoczne tony orkiestry rozbudziły nieco zasępienie czoła. Na domiar przyjemności, spotkał znajomego sąsiada, pana Jana Boruskiego, który przywiózł chorą żonę; z nim też poszedł na kawę, przy której paląc smaczne cygaro, przebawił niepostrzeżenie do dziewiątej godziny. Za powrotem znalazł żonę i córki już wychodzące do ogrodu, także *na wody*. Kilka dni panu Bonifacemu upłynęło przyjemnie, bo rano miał gdzie użyć swobodnej przechadzki, nagawędzić się z miłym sąsiadem, i nazbierać ciekawych wiadomości tak z zagranicy jak i z miejskiego bruku. Lipiec jakoś gładko przepłynął, a po nim sierpień i większa połowa września, dopóki wód mineralnych nie zamknęto; ale następnie zaczęła mu coraz więcej dokuczać bezczynność, brak pracy, i codzienne, duże wydatki.

W końcu listopada, kiedy powiała śnieżna zadymka, usiadł raz w swoim pokoiku i zaczął się obliczać z sobą. W ciągu pięciu miesięcy wydał przeszło 2,000 rsr., a zostawało jeszcze siedm miesięcy do końca roku. Miał wprowadzić należną ratę od kapitana 1,000 rsr. z dzierżawy Wólki Słomianej, ale czyż to wystarczy na zimę, gdy trzeba będzie dla córek, jak mu żona zapowiedziała, raz na tydzień wystąpić z wieczorem, ażeby dać się poznać w świecie i ułatwić zbliżenie jakiego konkurenta do Jadwisi, której wydanie ciążyło matce kamieniem w myśli i na sercu.

Westchnął stroskany pocziwy ziemianin, zadając sam sobie pytanie:

— Co ja teraz będę robił?

— O tej porze—rozmyślał sobie, przywołując niedawne wspomnienia—jakże rozkosznie odpoczywało się po letniej i jesiennej pracy w starym dworze Olszewnicy! Gospodarstwo całe już w *opłotkach*, od świtu do późnej nocy miły ogień kominkowy buzował się nieustannie, płomień jego rozweselał duszę i jakoś swobodnie dzionek za dzionkiem przechodził, ani się człowiek obejrzał. Rano, obeszło się stajnię, wołownię, owczarnię i oborę, a tu dwie młockarnie huczały aż miło, sypiąc plenne ziarno pszenicy i żyta, to rzepaku, jęczmienia i grochu. Abrahamek z siwą brodą już zajeżdżał i grubo płacił za Boże dary, zamawiając wcześniej wełnę z owiec i woły stojące na upasach. O tej dobie już człowiek wiedział ile zgarnie rubelków, jaki piękny dochód będzie z poręb leśnych, a tu wszystko się do razu urwało. Mieszkanie mieliśmy lepsze, obszerniejsze i wygodniejsze darmo, z opalem, a tu płacić tak drogo. Nabiał, drób, zwierzyzna, jarzyna nie kosztowały, a tu z koszykiem i groszykiem przepłacaj na wagę złota. Gdzie się obrócić wszędzie płacić, trzymaj rękę w kieszeni, a znikąd godziwego zarobku. Co ja nieszczęśliwy pocznę?

Pani Teofila daleką była od tej troski; sute poręczawicze od Niemca, w trzeciej dopiero części wydane zostało. Gdzie się tylko pokazała z córkami, wystrojona wedle ostatniej mody, spotykała jedynie hołdy i słowa uwielbienia. Czekala niecierpliwie na karnawał, gdyż w nim po otwarciu domu, dopiero spodziewała się spełnić swoje zamiary.

Panna Jadwiga, z postaci i charakteru wielce podobna do matki, podzielała w zupełności jej myśli i marzenia. Inaczej myślała Ewunia. Pokochawszy Adama Rudzickiego z Łomnicy, przyrzekła sobie wierną mu pozostać. Przywiązana do wiejskiego życia, czuła się w Warszawie jak biedna ptaszyna w klatce. Marzyła inaczej niż siostra, pragnąc zaciszy wiejskiej, skromnego dworku, ogródka, woni kwiatów, cienia i chłodu lasów, gdzie z taką rozkoszą zbierała nieraz jagody i jeryzyny, grzyby i orzechy. Duszna atmosfera miejska nie przypadła jej do smaku,—wielki świat, na który patrzyła, bynajmniej jej nie zachwycił. Jedwabne słówka i hołdy złotej młodzieży warszawskiej były jej wstrętne, bo czuła w nich tylko fałsz i obłudę. Bystre jej oko dostrzegło z niemałą trwogą zmianę ukochanego ojca, zaczęła pilnie go śledzić, nieznacznie podglądać, i widziała nieraz smutną jego zadumę, słysząc zarazem ciężkie i bolesne westchnienia. Przeczula niewieściem sercem, że i on tęskni za życiem wiejskim, i on pragnąłby co najrychlej uciec z bruku miejskiego, w dawną zaciszną ustron. Ale do niej już oboje wrócić nie mogli, bo tam się obcy rozsiadli. Przywiązanie jej do ojca, powiększyło się tembardziej, gdy widziała jego życzliwość dla pana Adama, o którym nie było dnia żeby nie pomyślała.

— Mój Boże! — nieraz sobie w samotności szeptała, — już tyle upłynęło miesięcy jak tu mieszkamy, a on się ani razu nie pokazał. Cóż za powód tej nieobecności? Czy zapomniał?

I serce ją zabolalo; była to jednak krótka tylko chwila, ufała zacności charakteru tego, którego z grona licznej młodzieży wybrała. Usta ich milczały, ale spojrzenia wzajemne wymowną prowadziły rozmowę za każdym spotkaniem, z nich czytali oboje prawdziwe uczucie miłości, bo wielką prawdę stary Górnicki za czasów jeszcze Zygmunta powiedział, że:

«*Oczy są to wierni posłowie od serca*».

Chwile, chociaż przelotnej wątpliwości, dojmowały srodze, postanowiła więc pomówić ostrożnie z ojcem.

Pan Bonifacy w bezczynności teraźniejszej, zwykle przedłużał poobiednią drzemkę, a ocknąwszy się lulkę zapalał. Na taką porę czatując, gdy ujrziała ojca rozbudzonego, przybiegła doń, przynosząc na długiej antypce stambulkę nałożoną *sultanem*. Pan Bonifacy z radosnym uśmiechem najprzód ucałował piękne a miłe dziewczętko, a potem zapaliwszy fajkę, zaczął puszczać gęste kłęby dymu.

Ewunia przy ojcu usiadła, i jakby z niechcenia zaptała:

— Co też to się tam w naszych stronach dzieje?

— A Bóg wie, moja kochana dziecińko! Pan brat kapitan nie nie pisze, ani jego święta matka nie raczyła i słówkiem nas pocieszyć; nawet o pocziwym Adasiu ani słychem ani dychu, a to mnie boli i bardzo boli...

— Mój ojczulku drogi — odrzekła ukrywając żywy rumieniec — stryjasek może się troszkę gniewa i kochana babunia, ale ja ich przepraszę, bo postanowiłam sobie, że razem na wiosnę do nich pojedziemy. Dobrze, kochany tatuniu? razem, weselej nam pójdzie.

Pan Bonifacy ciężko westchnął i oblicze się jego zasepiło.

— Ale, mówiła dalej, nie pojmuję dla czego pan Adam nie przyjechał. Czy nie wie ojczulek powodu?

— Zapewne nie śmie się tu pokazać w pośród tylu elegantów wielkiego świata. Kiedym się z nim żegnał raz ostatni i zapraszał do Warszawy, smutnie mi biedaczysko odrzekł z pochyloną głową, że za wysokie teraz nasze progi na jego nogi. Tak, pewny jestem, że tylko przez nieśmiałość nie pokazuje się u nas, bo znam jego szlachetny sposób myślenia. On zawsze cię jednakowo kocha i uwielbia, boś warta tego.



Ewunia ze łzami radości pochwyciła rękę ojca, okrywając ją gorącymi pocałunkami, a pan Bonifacy rozrzuwiony, przyciskając do serca ukochaną córkę, szepnął jej do ucha:

— Ty tylko z nim możesz być szczęśliwą, wy jakby stworzeni dla siebie jesteście...

Tego dnia pan Bonifacy poszedł wcześniej na wieszak do pana Boruskiego, który na zimę osiadł w Warszawie, pielęgnując słabą żonę, której zdrowie pod okiem lekarzy szczęśliwie wracało. Ewunia zaś cały wieczór była w niezwykle wesołym usposobieniu. Grała, śpiewała dawne swoje piosenki, skakała nawet po sali.

— Jakże dziś jesteś radosna, mówiła poważna Jadwiga. Dawnom cię w takim usposobieniu nie widziałam.

— A czegoż mam się smucić? odrzekła z uśmiechem.

— Widać że zbyt jesteś pewna swego hreczkosiejka z Łomnicy, dorzuciła siostra, z pewną ironią na piękne obliczu.

Ewunia słowa nie odpowiedziała, ale surowo spojrzawszy na Jadwigę, wyszła zasmucona z salonu.

### V.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Jak corocznie od lat kilku, tak i teraz przybyć mieli do skromnego dworku w Wólce Słomianej na wigilię Bazyli Sirawski i Adam Rudzicki. Z przyjemnością każdy z nich pospieszał w te gościnne progi, i zwykle bawił dni kilka, trawiając czas na miłej pogawędce, lub, gdy pora sprzyjała, na polowaniu, bo kapitan doświadczony myśliwiec, troskliwie pielęgnował zwierzynę. Tego roku jednakże dla wielkich śniegów ani można było myśleć o łowach, więc przybyli goście, po sutej z pierwszą gwiazdką wigilii, zapaliwszy fajki, bawili się rozmową.

— Powiedz mi mój kochany Pawle, odezwał się pierwszy Bazyli, czy nie nie wiesz o Bonifacach w Warszawie?

— Nie pytałem nikogo o nich — odrzekł pochmurno na to zapytany — a sami nie dali żadnej wieści o sobie. Ale mam przed Nowym Rokiem posłać bratu ratę dzierżawną i troszczyć się o to, kogo użyję do tej sprawy.

Bazyli spojrzawszy na siedzącego smutnie Adama ze zwieszoną głową, kiwnął na kapitana, i jakby od niechcenia przebaknął:

— Czego się troszczysz mój drogi, Adaś pojedzie i załatwi dobrze rzecz całą, a przytem spotka się z pięknymi oczyma.

Rudzicki podniósł na te słowa głowę i spojrzał z podziwieniem na mówiącego. Pułkownikowa, siedząca na uboczu z panną Kunegundą, odezwała się z uśmiechem:

— Już to panu Bazylemu przyznać potrzeba, że ma pomysły bardzo szczęśliwe. Ja się na ten projekt zgadzam w zupełności, mój syn zapewne podzieli moje przekonanie, a pan Adam nie zechce nam odmówić tej przyjacielskiej usługi. Zastrzegam sobie wszelako, że wyjedzie dopiero po świętach.

Kapitan spojrzął na swoją matkę z radosnym obliczem, powstał, a wsparty na lasce, zbliżywszy się do niej ucałował w obiedwie ręce i zawołał wesoło:

— Któżby tak mądrej rady nie usłuchał! Święta razem przebawim, a potem Adasiowi wyładuję sanki niewywrotne, i marsz braciszku na rozstajne drogi!... do Warszawy!

Adam chciał się wymawiać, ale kapitan groźnie krzyknął:

— *Sapristi!* tak być musi. Gdy dwóch powie żeś pijany, to idź spać bez nagany. A tu wyrok wydały aż trzy osoby, a co najważniejsza, moja droga matuchna! Teraz sobie utniemy taniego preferansika, a potem spać wcześniej, bo jutro rano ruszamy do kościoła.

Adam na przemiany i radował się i smucił, zaczął

думać frasobliwie, co on pocźnie w Warszawie, jakiego dozna przyjęcia u państwa Bonifacych!

— Posłuchaj mojej rady, wyrzekł Bazyli, ojciec przyjmie cię z otwartymi rękoma, młodsza córka pewnie się nie skryje na twoje przybycie, a choć noskiem pokręci pani Bonifacowa i w jej ślady panna Jadwiga, nie uważaj na to, i one zmiękną jak dobedziesz tysiąc rubli i wyliczysz ojcu.

— Ja cię poratuję w trosce panie Adamie, przemówiła pułkownikowa, bo napiszę list do Ewuni.

— Widzisz dzieciusku! zawołał kapitan, pokręcając szpakowatego wasa, w czepku się urodziłeś! Wszystko pójdzie jak z płatka, i musisz jechać!

Poczem uściśnął go serdecznie.

Święta przeszły szybko, goście razem opuścili ukochany dworek, mróz ścisnął, sanna się też utorowała.

Na cztery dni przed Nowym Rokiem, Rudzicki przybył do Warszawy, stanął w hotelu Europejskim, i nazajutrz w południowej porze zajechał do mieszkania dawnych dziedziców Olszewnicy.

Zaledwie służący jego nazwisko wymówił, pani Teofila zerwała się z krzesła i z Jadwigą wyszły spiesźnie z salonu, gdy Ewunia stanęła cała w płomieniach, a pan Bonifacy zawołał:

— Prosimy! bardzo prosimy!

I posunął się ku drzwiom sali.

Adam na progu stanął drżący i wzruszony, nie śmiejąc go przestąpić, gdy pan Bonifacy porwał go w swoje objęcia, a ściskając serdecznie, prawie ze łzami mówił:

— A godzi się to kochany Adasiu zapominać tak o starych przyjaciół! My tu ciebie z Ewunią codzień wspominali, a tyś nie pamiętał o nas...

Na takie przywitanie orzeźwiał młodzieniec, pozbył się wrodzonej nieśmiałości, a ujmując rękę córki, rzekł dźwięcznym głosem:

— Czy i droga pani równie się raduje z mego przybycia?

Ewunia z rozkwitłymi rumieńcami na twarzy uściśnęła dłoń podaną i wyszeptwała z cicha:

— Ojczulek prawdę powiedział.

— No! siadajże gościu upragniony! a co słyhać w naszych stronach? pytał ożywiony niezwykle pan Bonifacy.

— Wszystko po staremu u nas, pan kapitan ukłony z matką swoją kazał mi oświadczyć i przesyła ratę dzierżawną.

— Teci! Teci! prosimy! zawołał pan Bonifacy.

— Pani pułkownikowa powierzyła mi list do pani!

I to mówiąc doręczył Ewuni pismo, z którym wybiegła do matki i siostry.

Możeby pani Teofila nie była tak skorą w powitaniu nieulubionego hreczkosiejka, ale te tysiąc rubli miała sama wziąć na potrzeby domowe, wyszła więc z Jadwigą i uprzejmie powitała młodego gościa.

Pan Bonifacy uszczęśliwiony zaprosił go na obiad, poparła męża i sama pani, został więc ochoczo i resztę dnia przebawił. Wieczorem pani Teofila z Jadwigą wybrały się na teatr, gdzie razem z panią Senatorową miały już łóżę. Ojciec pozostał w domu, zatrzymał młodszą pieszczotkę swoją, która ochotnie została, a Adama nie puścił.

Przy herbacie musiał gość opowiedzieć wszystkie szczegóły o spędzonych świętach w Wólce Słomianej u kapitana, i wtedy przypomniawszy sobie pan Bonifacy o jej liście, rzekł do córki:

— No! moje dziecko, przeczytajże nam głośno, co ta czeigodna, kochana stryjenka pisze.

— Babunia ukłony zasyła ojeuszkowi i mamie, i prosi o wiadomość od nas...

— Ale tam musi być inaczej... daj mi ten list.

Gdy Ewunia go podała, sama spiesźnie wybiegła



z pokoju. Ojciec zrozumiał że w nim musi być jakaś drażliwa strona, więc po cichu zaczął go sobie odczytywać. Był on w tych słowach:

«Kochana wnuczko!

«Zasłałamy wam oboje z synem serdeczne pozdrowienie, a prosimy o szczegółową wiadomość jak się też wiedzie na nowych osiedlinach. Wybraliśmy posłańca do doręczenia tego listu i raty dzierżawnej, bardzo nieśmiałego, ale spodziewam się że miłego, przynajmniej dla ciebie i pocziwego Bonusia, którego oddzielnie ściskam i błogosławię.»

Pan Bonifacy odczytawszy te słowa, list z uszanowaniem pocałował jakby relikwię, i schował do kieszeni, gdy Ewunia, która wszystko śledziła, widząc że gość treści listu nie zna, wbiegła uradowana.

— Gdzież pan Wacław, czy go niema w Warszawie? zapytał Rudzicki.

— Po miesiącu pobytu z nami wyjechał do Galicyi, do wujaszka na Pokucie,—odrzekła Ewunia.

— Długoż u nas bawisz kochany Adamie?

Na drugi dzień przybył znowu, ale tą razą blisko zmroku, jako w wigilię Nowego roku, ażeby złożyć swoje życzenia. Pani Teofila, czy to pod wpływem męża, czy z własnego natchnienia, przyjęła go nadzwyczaj grzecznie i na herbatę zaprosiła.

Adam, czując się coraz swobodniejszym, na zapytania pana Bonifacego o gospodarce, zaczął się otwarcie spowiadać ze swego położenia.

— Zamyślam Łomnicę kupić, — mówił jakby z niechęcia, — folwark to piękny i korzystny, włożyłem w niego wiele pracy. Dawna dziedziczka umarła, a syn niecierpiący wiejskiego życia, pragnie się co prędzej tego spadku pozbyć, aby jak najrychlej wyjechać zagranicę. Spieszę się dla ukończenia układów, które w moim imieniu pan Bazyli zagaja. Właśnie dziś rano list od niego otrzymałem, i za cztery dni muszę być u siebie dla ukończenia kupna.

— Ale to majątek nie tani! wyrzekła pani Bonifacowa.

— Włoka po tysiąc rubli, a że jest trzydzieści sześć



Fig. 6. Toskana, willa Pliniusza (str. 30).

— Jutro, a najdalej pojutrze wyjeżdżam, — odrzekł spuszczając oczy nieśmiało.

— Bój się Boga! zawołał ojciec, czyż to się tak godzi przybywać jak po ogień!

— Nie byłbym śmiały stawić się tutaj — odparł Adam coraz więcej się ozywiając — gdyby nie zlecenie zacnego kapitana i wyraźny rozkaz pułkownikowej. Dziękuję z serca za przychyłność drogiego pana, ale widząc niechęć jego małżonki, czuję niemałą gorycz w duszy, bom nie zasłużył na tę niełaskę. Sierota, w samotnym życiu znalazłem w kochanym panu jakby drugiego ojca, a potrzebuję serca, któreby mnie pojmoowało i umiało mi osłodzić pracowitą drogę życia...

— Baj baj! będziesz w raju! odpowiedział pan Bonifacy, — ja ci byłem przyjaciелем szczerym i takim pozostanę, bo cię kocham jak syna! Jedź z Bogiem, gdy ci tu pobyt niemiły, ale pamiętaj że zostawiasz serca, co o tobie nigdy nie zapomną.

Adam rozrzuwiony i rozmarzony, wróciwszy do mieszkania, do północy zasnąć nie mógł. Nazajutrz zmienił zamiar prędkiego wyjazdu.

włók, dopłacić potrzeba do Towarzystwa Kredytowego około dwudziestu tysięcy rubli.

— A zkadże weźmiesz pieniędzy? zapytał pan Bonifacy.

— Oto się nie troszczę — z uśmiechem młody hreczkosiej odpowiedział — większą połowę mam już swoją pracą zebranych, resztę daje mi na niski procent pan Bazyli, a wiadomo państwu, że u niego krocie leżą... Gospodarstwo już należycie w Łomnicy urządzone, nakładów nie potrzebuje, dług taki łatwo się spłaci w ciągu paru lat, gdy urodzaje pomoga.

— Niech ci Bóg błogosławi mój Adasiu, mówił z serdecznym uczuciem pan Bonifacy, bo chciałem ci sam dopomódz.

Młodzieniec uściśnął rękę podaną. Ewunia z dumą spojrziała na siostrę, która coraz przyjaźniejszy wzrok zwracała na hreczkosiejka.

— Czy pan Bazyli naprawdę taki bogaty? zapytała pani Teofila.

— Liczą go najmniej na milion — odrzekł Adam — a ja myślę że ma więcej. I teraz odziedziczył po swoim stry-



ju, już po wyjeździe państwa z Olszewnicy, sto tysięcy rubli, bo to był stary skąpiec bezzenny.

— A czemuż się nie żeni? dodała panna Jadwiga.

— Utrzymuje że za stary; wprawdzie nie wiele więcej ma nad lat czterdzieści, przytem zdrow i silny, ale powiada...

— No! cóż, cóż powiada?... zawołał pan Bonifacy — mów Adasiu...

— Mówił mnie i kapitanowi, że nie znalazł kobiety któraby zasługiwała na jego miłość. Jedną tylko ukochał i ta mu umarła... A te co znam, dodał zwrócony do pani pułkownikowej, to same lalki, ani na żony, ani na gospodynie, ani na matki!...

— Co za wybredny kawaler! wycodziła pani Teofila ze skrzywioną twarzą.

— Dobrze robi, mówił pan Bonifacy, niech się nie żeni, jeżeli nie czuje prawdziwej miłości. Tam tylko szczęście rzeczywiste, gdzie się łączą stadła sercami, a nie w widokach poprawienia sobie losu. Jakżeż to rzadkie dzisiaj takie małżeństwo, a najgorzej na tem wychodzą nasze kobiety, bo młodzież wietrzy tylko gdzie dobry posag, a pannę bierze w dodatku. Ale dajmy pokój tak poważnej rozmowie, bo chciałbym swobodnie pogawę-

dzić z pocziwym Adasiem. Tu człowiek, rzucony na bruk, żyje jak nie swój, nie ma co robić, zajęcia żadnego dla szlachcica, co przywykł pracować na roli ojców swoich od świtu do nocy...

Mówiąc te słowa z zapalem, spojrział na żonę i ujrzał na jej obliczu wielkie niezadowolenie; ucichł nagle i mówił już spokojniejszym głosem, widząc że Rudzicki powstał z pożegnaniem.

— Więc panie Adamie odjechać musisz, i kiedy?

— W sobotę najdalej...

Po wyjściu przyszłego dziedzica Łomnicy, kiedy obie siostry zasiadły do wiedeńskiego fortepianu aby zagrać na cztery ręce ulubioną matkę melodyę, ta w boczny pokój siedząc, zapadła w głęboką zadumę. Już teraz nie miała troski o los młodszej córki, zaczęła trącić uprzedzenia dawne do młodego Adama, bo przejdzie wkrótce z dzierżawcy na właściciela pięknej posiadłości ziemskiej, pozostawiało tylko przyspieszyć wydanie ukochanej Jadwisi. Długo nad tem dumiała, snąc bezowocnie, bo poszepnęła w końcu:

— Ha! ufajmy Bogu i czekajmy cierpliwie!

(C. d. n.)

## SZKICE

### Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA.

(Ciąg dalszy.)

Ptaszarnie rozpowszechniły się w Rzymie w zamocznych domach, na lat kilka przed pogromem farsalskim; — ptastwa śpiewnego, więzionego w złoczonych wytwornych klatkach, dostarczał Wschód. Ptaszarnie były ulubioną rozrywką magnatów rzymskich — najokazalsze posiadali Lukullus w Tusculum i Varron w Casinum. Urządzenie tej ostatniej przekazała nam kronika dziejowa. Stanowiła ona równoległobok, w którym dwie ściany sobie przeciwległe miały przeszło 72 stóp pols. długości a dwie drugie 48½ stóp pols. głębokości mające. Podstawę tego czworoboku tworzył portyk wsparty na licznych kolumnach, a w każdym odstępie między temi mieściły się krzewy osobliwe. Dwie galerie otwarte, osłonięte tylko z góry i z boków, biegly równolegle i kończyły się tyłuż pawilonami, w których ptastwo znajdowało schronienie. Mały strumień przebiegał wewnątrz tej budowli. Pomiędzy galeriami znajdowały się dwie sadzawki podłużne, przedzielone wąską ścieżką. Ozdobą ornamentacyjną półkola był pawilon opierający się o kolumnadę, będący pomieszkaniem słowików, kosów i innych ptaków śpiewających. Tu była sala koncertowa — a dalej wyspa i sadzawki po których pływały kaczozy śpiewne, wielce rzadka osobliwość; w głębi półkola rozpościarał się istny las drzew, jakby dla rozweselenia więźniów skrzydlatych widokiem sąsiedniej im swobody.



Fig. 7. Siedziba wiejska Adryana wedł. malowidła pompejańskiego.

atryum <sup>(1)</sup> z szerokim dachem i portykiem oszklonym, a ztąd na podwórzec wesoły, z kąd portyk równoległy z pierwszym prowadził do sali jadalnej, wychodzącej na morze którego fale rozbijały się o mury pod oknami wychodzącymi na zachód. Oszklone atrium i portyki otwierały oczom szeroką perspektywę. Z prawej i lewej strony budowli mieściły się: sypialnia ogrzewana rurami, biblioteka, pokój dla służby dworskiej, kuchnia, wozownia i stajnie, a dalej łaźnie gorące i zimne wanny kąpielowe oraz rezerwar z wodą. Lewe skrzydło od południa, obejmowało salę jadalną i izbę w której zgromadzali się domownicy Pliniusza w czasie zimy. Było to miejsce najlepiej zabezpieczone od wichrów północy i upałów wschodnich. W prawym skrzydle znajdowało się miejsce przeznaczone na grę w piłkę obok wieży dwupiętrowej, z której wzrok obejmował wieś i morze. W drugiej wieży mieścił się pokój sypialny na lato i sala jadalna od północy, gdzie nie widząc morza, można było słyszeć huk jego. Dalej w pobliżu obszernego przysionka (*vestibulum*), zbudowaną była galeria sklepiona, opatrzoną dwoma oknami wychodzącymi na morze i ogród; wreszcie na skraju północnym tej siedziby mieścił się mały pawilon, który Pliniusz nazywał przybytkiem spoczynku i rozkoszy. Korytarz przeprowadzony między murem posiadłości a ścianą tego ustronia, stawiał zaporę wszelkim dźwiękom

Pliniusz młodszy posiadał dom na wybrzeżu morskim, między Laurentem i Ostją, w odległości sześciu wiorst od Rzymu. Wchodziło się doń przez półkoliste

<sup>(1)</sup> Pierwsza i największa komnata starożytnych Rzymian, do której wchodziło się z *vestibulum* (przysionka) przez *ostium*. Atrium zdobyły zwykle posagi, stanowiło ono łóżnicę i salę audyencyonalną a niekiedy służyło za pokój jadalny.



z zewnątrz dochodzącym i obdarzał to pomieszkaniem błogą ciszą.

W ogrodzie dość skromnym lecz rozległym rozwieszało się wino na wiazach, morwy i figi tworzyły tu aleje, fijołki kwatery—miejscami krzewiły się bukszpany, a rozmaryn wszędzie, gdzie technienie morza osuszało te ostatnie drzewa. Brakowało tu rzeki, lecz woda znajdowała się tak płytko pod ziemią, że z łatwością można było ją pozyskać wierząc studnie nieprzystępne słonym wodom morskim. W okolicy dziś niezdrowej i bezludnej, panował wówczas dostatek. Miasto Laurent posiadało trzy łaźnie publiczne; morze dostarczało smacznej ryby «podeszwicy» (*Solea vulgaris*) i «ostrawki pomorskiej» (*Urginia Scilla*); sąsiednie pastwiska przedziwnego mleka, Ostya wszelkiej żywności, a lasy pobliskie drzewa i zwierzyzny.

Z pośród rozmaitych siedzib jakie Pliniusz posiadał w Tybur, Tusculum, Preneście, jedna przewyższała wszystkie inne, nie wyłączając Laurentyńskiej. Była nią willa w Toskanie, zbudowana u stóp Apeninów, w okolicy zdrowej, obdarzonej łagodnym klimatem. Niedostatek morza wynagradzała tu przepyszna roślinność, obfitość wód słodkich i bogata ornamentyka ogrodów. Pliniusz w jednym liście wymienia z upodobaniem komnaty tej siedziby, jej galerie, podwórze ocienione, łaźnie, miejsca przeznaczone do gry w piłkę i powaby ogrodu. Wyobraźmy sobie miejscowość nieopisaną pięknosci, amfiteatr rozległy jaki umie stwarzać sama tylko natura, to jest szeroką płaszczyznę okoloną górami, których szczyty wieńczył las drzew wielce wyniosłych i wielce starożytnych. W lesie wybór zwierzyzny wszelakiego gatunku, na stokach zarośla, a między niemi wzgórza z tak tłustą warstwą ziemi, że napróżno by chciał tu kto kamień wynaleźć. Wzdłuż wzgórza winne latorośle wili się tak gęsto, że zdawały się tworzyć jakby jeden szpaler. Poniżej wina przeróżne krzewy, a dalej łąki i pola uprawne. Łąki ubarwione kwiatami dostarczały konieczny i innych traw tak soczystych, jak gdyby się dopiero co rozwinęły. Ziemia zawdzięczała swą żywność strumieniom ją ożywiającym, które nigdy nie wysychały. Pomimo obfitości wody nie widać było nigdzie bagnisk, gdyż wskutek spadzistości gruntu, nadmiar wilgoci spływał do Tybru. Spławna ta rzeka przepływając wśród pól, służyła w zimie i w czasie wiosny do przewożenia wszelkiego rodzaju żywności potrzebnej Rzymowi. W lecie Tyber obniża się do tego stopnia, że łożysko jego prawie wysycha; potrzeba mu oczekiwać jesieni, by mógł odzyskać nazwę wielkiej rzeki. Niewypowiedzianą było rozkoszą rozpatrywanie się w tej miejscowości z wierzchołka góry. Zdawało się że dostrzegamy nie jedną wieś, lecz cały krajobraz narysowany według wzoru idealnego. Gdziekolwiek oko się zwróciło, zostawało oczarowane układem i rozmaitością przedmiotów.

Przed portykiem kwatery kwiatowa, której różnorodne linie obwodziły drzewa bukszpanowe—dalej trawnik z łagodnym spadkiem a około niego bukszpany symetrycznie sobie przeciwległe, tworzące figury zwierząt. Na wzgórzach rośnie barszcz włoski (*Acanthus mollis*), zwany też rozdzińcem, z wątlą łodygą—dalej rozpościerała się bukszpanowa alea w postaci cyrku do przechadzki, której drzewa sztucznie hodowane przyjmowały najrozmaitsze nadawane im postacie. Wszystko to ogrodzone było murem niewidzialnym, gdyż osłaniały go całkiem bukszpany. Wzrok zachwycający się dotąd niespodziankami sztuki, sięgając głębiej spotykał łąkę przedstawiającą wdzięk naturalny, a dalej pola i krzewy. W pośrodku jednej galerii był mały podwórzec zabudowany i ocieniony czterema platanami. Sадzawka marmurowa zajmowała w nim środek. Przed ładnym budynkiem rozległa rajszula otoczona platanami, których

korony wieńczył bogaty liść zielony a pień obwijały bluszcze, wiążące te drzewa w jedną malowniczą całość; pomiędzy platanami bukszpany obramowane zewnątrz wawrzynami, krzyżującemi swe cienie z cieniami rzucałymi przez sąsiednie drzewa. Aleja w rajtszuli prosta, zaginała się w końcu w półkole, cień w tym miejscu stawał się gęstszym i głębszym, pod osłoną cyprysów tu się rozrastających. Przeciwnie w aleje koliste wewnątrz urządzone, padały żywe blaski światła słonecznego. Różne krzewiły się tu wszędzie, a gwiazda dzienna cień rozpraszała; po wielu zakrętach wchodziło się do alei prostej, z obu stron wysadzonej bukszpanami.—Tam rozciągała się mała łączka, owdzie szpalery tychże drzew powykrawanych w ten sposób, że tworzyły litery wyrażające nazwę właściciela lub ogrodnika. Na skraju małe kopce i drzewa owocowe, jakby skromna wioska chciała wkroczyć w symetryczną dziedzinę sztuki. Podwójny rząd platanów zajmował środek, po nich następował barszcz włoski, giętki, wijący się ze wszech stron, a dalej figury i litery z bukszpanów, składające się w przeróżne nazwy. W końcu biała ława marmurowa, osłonięta liściem winnym. Woda rozprowadzana małemi rurami, przechodziła do sadzawki marmurowej, w ten sposób urządzonej, że zawsze bywała napełniona, a nigdy woda z niej po za brzegi się nie przelewała, obok wodotrysk wyrzucał i pochłaniał wodę, strumienie jej naprzemian to wznosiły się, to spadały w kroplach rozprysniętych na wszystkie strony.

Naprzeciw ławy komnata, ozdobiona marmurami, drzwi jej ubrane zielenią, zdają się jakby z ogrodem tworzyły jedną aleję. Nad oknami i pod niemi zieleność—mały gabinet w głębi tej komnaty ukryty mieścił w sobie łożo, a jakkolwiek jasne światło napływało w okna, miejsce to było ocienione, gdyż winna latorośl pnąc się swobodnie po drzewach, dosięgała ich wierzchołka i nie przepuszczała promieni słonecznych. Spoczywałeś tu niby w gęstwinie leśnej, z tą różnicą, że w czasie deszczu nie doznawałeś żadnego nie milego wrażenia, gdyż krople wody cię nie dosięgły. W rozmaitych miejscach rozstawione ławki marmurowe służyły równie jak powyższa komnata do spoczynku dla znużonych przechadzką, przy każdej z nich mały wodotrysk—a strumienie wydając szmer cichy, roznosiły wodę wszędzie, gdzie jej obecność była potrzebną.

Przechodzimy do willi Adryana. Władca ten obok wad jakie skazyły jego imię, posiadał niepospolite zdolności artystyczne. Namietny miłośnik piękna, ozdobił kraj mnóstwem przepysznych budowli;—odbywając w ciągu dziesięciu lat podróże po Egipcie i Grecji, przeglądając skarby sztuki w ich muzeach nagromadzone, zamierzył w końcu swego panowania, zdając sprawy państwa przypodobionemu swemu synowi, pomieścić w swej willi pracowicie przez siebie zebrane dzieła sztuki. Urządził w niej muzeum, w którym wspomnienia artysty, przeczuwającego schyłek dni swoich, wskrzeszały przeszłość, przypominając mu jasne godziny wieku dojrzałego. Zdobywca chiński odwzorował w swych parkach pałace możnowładców zniszczone przez jego wojska; Adryan zgromadził w swej willi pomniki, jakie podziwiał w swych wycieczkach artystycznych; próbował nawet urzeczywistnić w niej marzenia poetów, odtwarzając obok liceum, akademii i przysionków ozdobionych malowidłami—piekła Wirgiliusza.

W tym celu zarządził roboty pomiędzy Rzymem a Tyburem, na falistym wierzchołku długiego pagórka. Dokonane nasypy zniosły różnicę zachodzącą między poziomem a wyniosłemi płaskowzgórzami, spadek pozyskał większą łagodność i otworzył szeroką perspektywę na cztery góry zwane dziś *Peschiavatore*, *Ripoli*, *Afliano* i *San Stefano*, przyczem odsłonił się przepyszny widok



na Rzym i morze. Rozkoszna dolina od północy, świeżo rozkopana i oswobodzona od kamieni, nosiła nazwę Tempe, a źródło żelaziste powiększone zapomocą wodociągu, zastępowało miejsce rzeki Peneus. Inny strumień przetrzął dolinę od południa.

Niemna żadnej wątpliwości, że nie sam Adryan kierował robotami ornamentacyjnymi około tych budowli, chociaż był doskonałym architektem, jak tego dowodzi model noszący jego imię, w którym naśladował wiszące ogrody Babilonu, dla przyozdobienia swego grobowca. Przypisują mu też budowę świątyni Wenery i Romulusa, z których pozostały jeszcze prześliczne szczątki. Imperator nakreślił plan swej siedziby wraz z słynnym architektem Demetryuszem. Jednocześnie snycerze i cyzelatorowie wszelkiego rodzaju zabrali się do obrabiania rzadkich marmurów i drogich metali. Niepodobna nam objąć bogactw, których szczątki do dziś dnia jeszcze spoczywają w podziemiach. Pomimo rabunku Konstantyna, ruiny dokonanej przez Augustów zachodu, łupieżę Totilasa króla Ostrogotów w 544 roku, plądrowania Atolfa, grabieży Longobardów, Gwelfów i Gibellinów, rozbioru do budowy kościołów i dzisiejszego Tivoli, pomimo tych wszystkich klęsk siedziba wiejska Adryana dostarczyła jeszcze pysznych arcydzieł sztuki muzeom Rzymu, a niewątpliwie wiele dotąd nieznanych skarbów zawiera w podziemnem swem łonie. Aleksander VI wykrył w jej podziemiach statuetki Muz i matki ich Mnemozyny, bogini pamięci, córę Uranosa i Gei i miłośnicę Zeusa, a Leon X pomieścił je w Watykanie, z kąd niewiadomy sprawca je usunął.—Wille Farneryna, Tyburtyna i Kwirynalska zbogaciły siedzibę Adryana wielu cennymi posagami, jakoto Cererą, biustem Izidy, Hekatą i dwoma Prozerpinami z Cerberem. W XVII wieku Bartoli wspomina o znalezieniu w tem niewyczerpanem muzeum dwóch pięknych kandelabrow Barboriniego, schodów z alabastru wschodniego i dziesięciu posągów egipskich, które następnie dostały się Hiszpanii. W XVIII wieku Volpi i Ficoroni głoszą o odkryciu przepysznych mozaik, przedstawiających Florę, Faunę, Antynousa egipskiego, Harpokrata, atletę i dwóch Centaurów, nie licząc wielu innych tam wykrytych ornamentacyj architektonicznych. Od piętnastego wieku do dziś dnia, willa Adryana, jakkolwiek zrujnowana, budzi jeszcze podziw turysty i głośno mówi o ubiegłej swej wspaniałości. Rząd cyprysów krzewiących się wpośród ruin murów występujących tu i owdzie w okręgu siedmiu mil, wskazuje dawne jej położenie. O ćwierć mili od mostu Lucano, pod którym strumienie Tempe i południowy rzucają się w zimie do Anio (w lecie rzeka ta wysycha), wśród winorośli obfitej, opromienionej żywo światłem słonecznym, napotykamy fundamenta z kamienia wapiennego i ułamki płaskorzeźb. Tu niegdyś było główne wejście. Opodal, obok pięknej alei cyprysowej, małe bagnisko półkoliste reprezentuje dawny amfiteatr grecki, w którym niegdyś wodzowie siadywali na stopniach opartych o wzgórze. Scena z orkiestrą tworzyły w pewnej odległości równoległobok, wsparty od południa na podmurowaniu stoczystem. Sąsiedni portyk, stanowiący foyer i schronienie przed deszczem, otaczał zewsząd parter.

Od wschodu teatr grecki i ślady łacińskiego—pomiędzy niemi palestra, której nieforemności osłonięte były galeriami i posagami. Wielki dół dziś zaroślami pokryty, był wytworną studnią otoczoną dwoma olbrzymimi wodotryskami. Pomiędzy dwoma rzędami cyprysów, ścieżka wiodła do zbiorników, łaźni i schodów przysionka ozdobionego malowidłami. Przysionek ten zwany *poecilus*, tworzył olbrzymi kwadrat z trzech stron przyozdobiony portykami na pilastrach i przedstawiał wierną kopię pomnika ateńskiego, z freskami takimi, jak je opisuje Pausaniasz. Sterczą tu jeszcze wysokie mury i ogromna kotlina niegdyś napełniona wodą, na której staczano w miniaturze bitwy morskie bawiące imperatora. Ziemia owego poecilu prawie całkiem sztuką wytworzona, spoczywała na kilkopiętrowych koszarach, rozległej i obszernej budowli, przez czas do szczytu zniszczonej. Istnieje jeszcze kilka ze stu komnat (*Cento camerelle*) tych koszar a każda z nich opatrzona była drzwiami i oknem. Każde piętro posiadało miejsce do przechadzki, łączące się ze schodami; zdaje się że pretoryanie składali orły w wieżycy opartej o ścianę południową poecilu, tworzącego jakby taras i szczyt pretoryum.

Od wschodu poecilu, ukazują *Schola*, starożytną salę w której dysputowano.

Teatr nadmorski, wsparty na dwóch urwiskach—dokoła wyspa ożywiona czterema wodotryskami i ogrodem zasadzonym krzewami kwiatowymi, ozdabiała to miejsce. Cztery mosty przerzynające teatr, z brzegiem wyłożonym mozaikami, odpowiadały tyłu portykom zbiegającym się w środku wyspy. Portyki te oddzielone od siebie czterema wodotryskami, wsparte były na kolumnach marmurowych, z których środkowe w skutek złudzeń perspektywy miały się przeróżnemi kolorami.

Wylczyliśmy dotąd zaledwie połowę cudów architektury i rzeźby, nagromadzonych w większej siedzibie imperatora Adryana. Dopełniały jej nadto dwie biblioteki, grecka i łacińska, rozległa sala z wyjściem na wytworny ogród ozdobiony portykami, podziemne korytarze, sklepienie sale z osłonami purpurowymi, łaźnie, panteon przypominający do złudzenia zbudowany przez Agryppę, lochy więzienne, mauzoleum rotundowe, świątynie różnokształtne, z których posagi Wenery i Dyany przeszły do muzeów, wspaniałe prytaneum, gmach akademii wzniesiony na wyniosłym tarasie, i wiele a wiele innych budowli, wpośród których krzewiły się drzewa oliwne.

W osmnastym wieku kardynał Marefoschi z hrabią Pentinim robili poszukiwania w tej starożytnej skarbnicy sztuki, i zdołali odtworzyć dość wierne zarysy willi Adryana, a to idąc za śladem tu i owdzie sterczących murów, napotykanym ułomkom kosztownych kolumn marmurowych i innych ornamentacyj. Siedm czy ośm mozaik przez nich odkopanych przeszło do Watykanu, gdzie dotąd widzieć je można; drogocenne kolumny użyte zostały do budowy świątyni pańskich.

Przepych wiejskiej siedziby Adryana przewyższał to wszystko, o czem mogła zamarzyć najśmielsza wyobraźnia—dziś jeszcze miejsce to nazywają Włosi «pałacem złotym» *piazza d'Oro*.

(C. d. n.)

## ROZPRAWY O MAŁŻEŃSTWIE I WYCHOWANIU, w dziełach z drugiej połowy XVI i pierwszej XVII wieku.

przez WŁ. CHOMętOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W przedmiocie stosunku mężczyzn do płci pięknej najwięcej rozpiął się Łukasz Górnicki w swym

Dworzaninie. W rozmowie Myszkowskiego z Kryskim i Bojanowskim kreśli obraz zalotów, niby na przestroge



dla niewiast, których jest obrońcą. Pierwszy na zarzuty innych panów odpowiada: «Tak wiele jest mężczyńskiej chytrłości, tyle fortelów, sideł, sieci, tyle dołów, że to jest nader wielki dziw, kiedy uboga dusza w nie nie wpadnie. Nie masz tego jednego dnia, tej jednej godziny, kiedyby mężczyzna zamiłowany nie był pilen, jako jeden pies, drzwi tych które polubił. Dostanie-li mu się mówić, umie uprząść tak smętną postawę, umie wzdychać, umie tak płakać, iż zwyciężyłby onym najokrutniejsze serce. Nuż kiedy do darów, do upominków przyjdzie, któremi siła miast i zamków na świecie dobyto, tam już nie ma żadnej miary, by jeno brać chciała, jako bywa o to ustawicznie proszona, wszystkie pieniądze miłosne serce radoby na to wydało. Jakoż przedsię znajdują się takie fortele, iż aby upominku nie wzięła żadną miarą obronić się nie może. Inne rzeczy, jako stroje, gonitwy, maszkary, woźby (przejażdżki), które wszystkie kosztu potrzebują, są jako smolne drwa ku rozżarzeniu ognia, albowiem rozumie to tak ubóstwo, że się to dla niej wszystko dzieje, a nie może się nigdy ocucić w nocy, aby nie słyszała wymyślonej muzyki, lamentliwych piosenek z rozkazania onego, który wzdychając, tak gwałtowną serdeczną boleść pokazuje. Co większego, takowa białogłowa, na którą już to nieszczęście Bóg dopuścił, nie ma nikogo wiernego. Jeśli co do służby swej przerzeczę, ta wnet przedarowana, uczyniwszy naprzód obmowę, poda listek, poda upominek od miłego i dołoży litownemi słowy, jako nieborak nader bardzo miłuje, jako majętności, zdrowia, dusze nic sobie nie waży, jako żadnej nieuczciwej rzeczy nie pragnie tylko tego, aby kiedy osobno mógł się namówić..... Naostatek przez czary, przez czarnoksiężstwo kuszą się niektórzy zniewolić pocziwe serca, a odjąć oną swobodę, którą ma każdy człowiek od Boga, nie iść gdy nie chce w ogień. Nie wiem jako kto, ale ja miłując nierówniebym wolał widzieć to na oko, iż ta której służę z serca mię miłuje i umysł swój bez innej pociechy dała, niż abych miał hojnie mieć to wszystko, cobych jedno chciał, a nad jej wolą: bo tak zdałoby mi się, że jest panem martwego ciała. Ale kto może wszystkie sztuki, wszystkie haki, któremi chłopci na białogłowy idą—wyliczyć, tak tego jest wiele i ustawicznie za przemysłem ludzkim przybywa, iż ani pamięć jednego niesie, ani język tej pracy zdoła. A mimo to, co kto z swej głowy chytrze wynajdzie, są ktemu jeszcze i księgi, które uczą jako białogłową w tej mierze podejść i zbłaźnić» i t. d.

Widzimy z przytoczonych uwag, że kiedy podarki, ani prośby w połączeniu z muzyką i pieśniami, nie mogły skruszyć hardej piękności, uciekano się do guseł, czarów i różnych tajemniczych sekretów oraz przepisów. Widzimy też, że uczony nasz i znakomity pisarz z drugiej połowy XVI wieku podzielał przesady ogółu, uznawał bowiem wpływ guseł i czarów, chociaż bezwątpienia między autorami współczesnymi celował obszerniejszymi i idealniejszymi poglądami na stosunki towarzyskie. Podaje też na innem miejscu szlachetne sposoby starania się o wzajemność ukochanej osoby. Radzi więc kawalerowi tak ostrożnie rozpoczynać konkury, aby zawczasie nie wypowiadał się ze swych zamiarów pannie, gdyż wtedy nie zechce z nim swobodnie rozmawiać a nawet może unikać będzie jego towarzystwa. W skutek tej uwagi podaje rady następujące: «A przeto chcieli dworzani pokazać białejgłowie widocznie miłość swą i uczynić oną sobie skłonną, rychlej mem zdaniem może przyjsz do tego, bo podczas w jednym westchnieniu, w jednym zapłonienu i niejakięj bojaźni, więcej znać będzie miłości niż w tysiącu słów gorących. A co więcej oczy same, jako pewni od serca posłowie, siła sprawić mogą: bo nie tylko odkrywają myśli nasze, ale też częstokroć gwałtownymi płomieniami swymi przenikając przez drugie oczy,

jako jasność przez szkło, do upodobanego serca, zagrzewają je i czynią sposobne ku przyjęciu i rozżarzeniu miłości. Ztąd przypowieść urosła: oko w miłości wodzem. A tak jest bez chyby, albowiem oczy człowiecze siedząc zakrycie, jako na podsadzce (zasadzce) żołnierze, a ostrem wejrzeniem strzelając, rychlej oczarować mogą niż która baba zioly albo przymową (zamawianiem), zwłaszcza kiedy się więc wzrok często z wzrokiem styka, bo wtenczas jeden drugiego miłością zaraża tak, jako niezdrowe oko uprzejmie w zdrowe patrząc, zaraża je chorobą. Tym tedy kształtem dworzani i miłość swą pokaże i wiele łaski sobie zjedna. Jedno iż kto oczu swych rządzić nie umie, częstokroć się przed tym wydawa, przed kim to najbardziej zataić chciał, bo ludzie wiedząc ową przypowieść, gdzie miło tam oczy, pilnie się przypatrują i prędzej czasem takową rzecz spostrzegą, niż ten ku komu wzrok się ścigał. Przeto kto będzie chciał samej tylko osobie tej, którą lubił, chęć swą pokazać, musi patrzeć na czas i na miejsce, aby ani płochu, ani rozchełznanie, choć w największej miłości, nie poczał sobie, bo nie może być nic cięższego jako miłość rozgłoszona, kto tajemnym być chce».

W szeregu wielu innych uwag znajdujemy napomnienie, aby kawaler nie nudził ukochanej osoby wyrzekaniami na losy, lub przesadą w wyrażeniu swych uczuć: «Boć się i ów rozumem bardzo nie przesadził, co do panny przyszedłszy z rejestru słowa stawia, iż białogłowa dla onej jego potwornej retoryki, aby się przed nim prostaczką nie popisała, mało albo nic nie mówi, jednoby rada chudzinka co najprędzej zbyła go z szyje, bo się jej ona godzina rokiem widzi». W dalszym ciągu dzieła Górnickiego, w rozprawach o stosunku mężczyzny do niewiast, jeden z panów przytacza powieść o znanej mu osobie pannie, później mężatce, jako wzorze godnej naśladowania cnoty. «Korzystał w przyjaźni tej białejgłowy nader pięknej i młodej jeden niesprośny młodzieniec czas nie mały, za którą miłością i ona nakoniec serce swe i myśl wszystką ku niemu obróciła, czego nietylko ja byłem świadom, ale i każdy łatwo to znać mógł, kto je kiedy na biesiadzie pospołu widział. Także będąc w takowej płomienistej miłości całe dwie lecie, wstrzymała się jednak od tego, iż żadnym znakiem chęci onej wielkiej dobremu panu nie pokazała, chyba jeśli co takiego było, czego pokryć nie mogła; ale ani rozmowy z nim żadnej mieć nie chciała, ani od niego przyjmować listów, ani darów, chocia nie był ten dzień jeden, kiedyby tego w dom do niej nie noszono..... Owa młodzieniec nie mógł jej dalej wyciągnąć, chyba jeśli mu się czasem z okna widzieć dała, albo iż na weselu szła z nim jako z kim drugim w taniec». Wiedziała dziewczeczka że ojciec inny dla niej uprojektował związek, jakoż nie śmiała się opierać jego woli i oddała rękę bogatemu, wybranemu przez rodzica narzeczonemu. Młoda mężatka nie mogła wprawdzie wygładzić z serca ani z pamięci dawnego głębokiego uczucia, ale umiała tak zapanować nad sobą, że nie zdradziła się postępkami ani słowem i tajemnicę poniosła do grobu.

Nie zapomniano też w Dworzaniu o odwrotnej stronie medalu, mianowicie o kaprysach, o niestałości niewiast i t. p. Tak między innymi czytamy o zalotnych niewiastach uwagi następujące: «Chociaż i one podczas miłują, przecież kochają się w takowej miłych swych męce, bo tak rozumieją, iż im więcej sług ich jest zbolących na sercu, strapiionych na umyśle, którym świat omierzył iż śmierci pragną, tem większa sława ich że światem rządzą i mogą swoją pięknością znędzić albo ubłogosławić, dać zdrowie albo chorobę, śmierć albo żywot temu, komu raczą..... Są jeszcze drugie potworniejsze, które dowiodłszy tego chytrością swoją, iż każdy z sług ma za to (ma to przekonanie), że on sam w miło-



ści płuży, sieją dopiero między niemi zazdrość, jednemu przy drugim większą łaskę pokazując. A kiedy ten zasię mniema by był na koniu, to go słowy obojętnemi zawiesza, albo nań kluczkę (łapaczkę) jaką znajdą, aby się z nim pogniewać, za którem pogniwaniem już pozna, że odpadł od łaski, a inny na jego miejsce wstąpił. Ztąd między takimi ludźmi zajścia, poswarki i wiele złego roście, bo człowiek w tej mierze, gdzie miłość dodaje ognia, trudno się ma pomiarkować». Nie będziemy wymieniał rozmaitych fortelów niewieścich przytoczonych dla przestrogi dworzaninowi, winniśmy atoli zwrócić uwagę na określenie idealnej miłości w zakończeniu dzieła. Zaznacza autor, że rzadko hołdują jej ludzie w młodzieńczych latach, jako poddający się najpohopniej wrażeniom zmysłowym, zwraca się przeto do dworzanina w dojrzałym wieku, który wyszumiał dawno z młodzieńczego szaleństwa, radzi się w swych skłonnościach więcej rozumu niż zmysłów: «Naprzód tedy niechaj w to wejrzy (dworzanin), iż ciało w którem piękność widzi, nie jest przyczyną

onej cudności, i ówszem piękność, biorąc ją samą, iż nie ma ciała a jest promieniem od Boga, wiele już przez to traci, kiedy się złączy z tą rzeczą, w której skażenie panuje, jako jest ciało nasze,—albowiem piękność tem więcej ma w sobie doskonałości, im się mniej z widomemi rzeczami wiąże.... A tak jako nie może nikt słuchać nosem ani wonieć uchem, tak też nie może żaden użyć cudności ani uczynić dosyć chęci tej, którą piękność w umyśle człowieczym ożywia, dotknięciem, ale temi tylko zmysły, które do uznania piękności należą, a myślą, która na piękność duszną patrzy. Przyjdzie tedy odłączyć piękność od wszelkiej sprośności ślepego zmysłu, a użyć onej oczyma, uszyna i myślą; oczyma na udatny wzrost, na kształtowne członki, na piękną a miłą twarz, na luby uśmiech a uczeiwe obyczaje patrząc,—uszyna wdzięcznego głosu a przyjemnych słów słuchając, a myślą uznając szlachetność dusze onej, która tak piękne ciało sprawuje.... i t. d.

(C. d. n.)

## POŻAR W BOCHNI.

*Bochnia*, miasto w Galicyi, słynne kopalnią soli, leży wśród wzgórz, o mil sześć na wschód od Krakowa. Gród ten starożytny powstał w drugiej połowie XIII wieku, za Bolesława Wstydliwego 1253 r. Ma wspaniałą farę, kościół księży Bernardynów, wiele murowanych domów, i liczy do 6000 mieszkańców. Od południa góry Karpackie zamykają krajobraz. Ślady historyczne wskazują, że od bardzo dawnych czasów korzystano z tego Bożego daru, jakim jest sól, lubo piękna legenda, wraz z historykiem *Długoszem*, naznacza późniejszą datę odkrycia tu soli na rok 1251 za Bolesława Wstydliwego.

Kopalnie soli, w ogóle po staremu nazywano *Żupami*: Bochnia nosiła miano: *Mniejszej Żupy*, dla różnienia od *Wielkiej Soli* czyli *Wieliczki*, która tak obfitością soli jak i wyborowym gatunkiem przechodziła i obecnie przechodzi o wiele Bochnią. Kiedy w dawnych wiekach nauka górnicza stała na niskim stopniu, po wykopaniu znacznej ilości soli, głębiej przez to otwartą, podpierano (czyli *steplowano*) kłódami drzewa, ułożonemi jedne na drugie, dla bezpieczeństwa od zawalenia. Takie podpory widzimy w kopalniach Wieliczki na pierwszym piętrze podziemia, tak samo i w Bochni. Ztąd na przypadek zapuszczenia ognia, pożar łatwo się rozszerza, bo mażywiół gotowy w wysuszonych kłódach drzewa.

Wieliczka pierwsza doznała klęski pożaru. Historia nam zapisała taki wypadek w roku 1510, za czasów króla Zygmunta Starego.

Podrzucone przez złośliwego górnika zarzewie roznieciło pożar, w którym zginęło wielu górników i nie mało zostało poranionych śmiertelnie. Przytłumili go z narażeniem życia *żupnik* wielicki *Andrzej Kościelecki* i *Seweryn Bonar* starzec siedemdziesięcioletni. Drugi pożar, także zbrodniczą ręką podłożony tu w 1620 r., w jednej z komór, zasypaniem pieców przyległych został zaraz zduszony.

Najstraszniejszy i najzłobniejszy dla kopalni Wieliczki był pożar w szybie *Bonarowskim* w roku 1644. Przez nieostrożność zapuszczony ogień w siano dla koni używanych w salinach, tak szybko wystrzelił płomieniem, że dach stojącego nad szybem budynku, jakoby ognistym wichrem porwany, wyskoczył w powietrze i padł o kilkadziesiąt kroków na ziemię.

Straszny ten pożar, wśród którego jakby z wulkanu wybuchały płomienie z szybu, urągał długi czas z usiłowań ludzkich i czynił niemożliwym przystęp do szybu

i kopalni. Zostawieni bez wszelkiego ratunku, padli ofiarą górnicy, podusiły się i konie używane do roboty w podziemiach, a pożar podsycany materiałem drzewnym, rozlał się lawą żaru po wszystkich zakrętach kopalni.

Trwoga i rozpacz ogarnęła górników i mieszkańców samego miasta, ręce im opadały wśród straszliwej grozy i potęgi pożaru, wszelki ratunek zdawał się niepodobnym.

Czarne, olbrzymie słupy dymu i snopy płomieni zionęły z głębi szybów, żar przegryzł podstawy tak, że co chwila oczekiwano zawalenia się całej Wieliczki. Wówczas pobożna wiara górników uciekła się do opieki patronki salin *S. tej Kunegundy*. Wszyscy górnicy i mieszkańcy, a na czele zarządca ówczesny żup solnych *Adam Kazanowski*, marszałek nadworny, udali się w procesyi do grobu tej świętej w *Starym-Sączu*. Powróciwszy z pielgrzymki pożar ugaszonym zastali.

Była to klęska wielka, bo dotknęła kraj cały; zabrakło soli, a biedne rodziny górników Wieliczki, musiały zebrać chleba. Po trzykroć w latach 1655, 1696 i 1771 były tu pożary mniejsze, które potrafiiono stłumić. Przed kilką laty drugi żywioł zgubny rzucił się na zatrąte Wieliczki—woda, która kaskadowym strumieniem zalała jej trzy dolne podziemia. Usilnością ludzką saliny jej ocalone zostały i dziś wróciły do dawnego stanu.

Bochnia uległa pierwszy raz pożarowi w roku 1850, który wielkie sprawił szkody, a górników na czas długi pozbawił chleba. Pamięć doznanej niedoli przekazali oni swoim potomkom, nie spodziewając się że jeszcze sami będą świadkami nowego pożaru. W dzień czwartkowy, dnia 30 Grudnia r. z., kiedy spodziewano się wesołego nowego roku, maszynista zajęty czyszczeniem maszyny parowej w kondygnacji zwanej *Beust*, tak nieostrożnie obchodził się z ogniem, że się zajęły kłaki w szafie, a obok nich nafta. Pożar wybuchł do razu i rozszerzył się gwałtownie; zanim zdołano rzucić się do ratunku, już drewniane podpory tego szybu stały w płomieniach, a korytarze przyległe wypełniły się gęstym, ciężkim dymem, który wszelki tamował przystęp. Dym ten dostał się wkrótce do niższych szybów, w których pracowali górnicy: ostrzeżeni poczęli uchodzić przed niebezpieczeństwem, ale w ucieczce, duszeni czadem, padali. Siedemnastu wydobyto z podziemia, dwunastu z nich przywrócono do życia, dwóch już zmarło, trzech musiano pozostawić w głębi kopalni.

Pożar ogarnął saliny Bochni przez czwartek, pią-



tek, ostatnie dnie zeszłego roku, w sam Nowy Rok i dnie następne, gdy przybył w porannej dobie nadradca skarbowy *Edward Windakiewicz*, i wraz z dyrektorem salin *Furdzikiem*, oraz z dwoma górnikami, w dniu 3 stycznia r. b., chcąc się przekonać o ile okazały się skutecznymi środki przez niego przedsięwzięte dla ugaszenia pożaru, postanowił spuścić się na dół do kopalni. — Górnicy doświadczeni przestrzegali go przed niebezpieczeństwem, nie zdołało to wszakże odstraszyć *Windakiewicza* i *Furdzika*. Opatrzni w przyrządy *respiracyjne*, wraz z dwoma najdzielniejszymi górnikami, *Siatką* i *Misiewiczem*, około godziny dziewiętej rano kazali się spuścić na tak zwanej *szali*, czyli koszu, ażeby dotrzeć do gniazda pożaru.

Gdy wszyscy czterej spuścili się do kondygnacyi *Freudla*, dali znak telegrafem aby zatrzymano szalę. Zastosowano się do sygnału i wstrzymano winę; dalszy sygnał nie nadchodził od spuszczonej, i na znaki dawane z góry liną drutową już nie było odpowiedzi. Wyślano pięciu górników na dół zapomocą drugiej szali i chciano pierwotną wydobyć, na której spuścili się *Windakiewicz* z *Furdzikiem* i dwoma górnikami. Szalę tej wydobyć nie zdołano, wyskoczyła z karbów i pochyliła się. Drugą szalę z pięciu górnikami wywindowano do góry, ale znaleziono w niej już trzech górników omdlałych, których oduciono jednak w krótkim czasie.

Rzucono się natychmiast do ratowania spuszczonej do kopalni, i znaleziono martwe już ciała *Windakiewicza* i dwóch górników. Zwłoki były strasznie pokaleczone; ciała dyrektora salin *Furdzika* odszukać nie zdołano; znaleziono tylko na dole szybu jego czapkę, lampę i aparat *respiracyjny*.

Ś. p. *Edward Windakiewicz* był górnikiem znakomitych zdolności, który ukochał swój zawód i oddał mu się z całym zamiłowaniem. Kraj traci w nim jednego z najzdolniejszych i najenergiczniejszych górników, który powołany właśnie na wyższe stanowisko, byłby niewątpliwie oddał znakomite usługi. Już jako ko-

misarz górniczy ś. p. *Windakiewicz* wiele bardzo zdziałał dla podniesienia górnictwa w Galicyi; tamtejsze kopalnie oleju skalnego, którym poświęcił wiele troskliwych i pożytecznych studyów, zawdzięczają mu bardzo wiele. W roku 1875 wydał dzieło p. n. „*Olej i wosk skalny w Galicyi*”, w którym złożył bogaty plon swych spostrzeżeń, zebranych na tem polu krajowego górnictwa.

*Windakiewicz* kształcił się praktycznie dłuższy czas zagranicą, znał niemal wszystkie kopalnie Europy, a w wielu z nich pracował. Jako autor fachowy, znany był i ceniony wielce w Niemczech. W pismach najpoważniejszych zagranicznych prace jego były pożądaną. Zostawał w licznych stosunkach ze znakomitościami górniczej literatury zagranicą, utrzymywał nawet korespondencje z amerykańskimi dyrektorami kopalń naftowych, chcąc od nich czerpać praktyczne wskazówki, na korzyść własnego kraju. — Zasiłał pracami swemi jeden z najpoważniejszych organów prasy galicyjskiej: *Gazetę Lwowską*, w której przez czas dłuższy prowadził osobny dział p. n. *Ruch górniczy w Galicyi*, podpisując się skromną cyfrą *W.* Ostatnią jego pracą był w temże piśmie: *List otwarty do komisji fizyograficznej w Krakowie*.

Przy wielkiej nauce i doświadczeniu górnikiem, był to mąż nieustraszonej odwagi, czego dał już poprzednio świetne dowody. Będąc urzędnikiem górnictwem na Węgrzech, kazał się pomimo przestróg spuścić do wałęsającego się szybu, a przysypany gruzami, poniósł ciężki szwank na zdrowiu, którego skutki zawsze mu się uczuwać dawały. Wspomnienie tego wypadku nie odstraszało go w *Bochni* — chciał nieść pomoc braciom górnikom, co w podziemiach oczekiwali z trwogą ratunku — chciał ocalić od klęski pożaru saliny i padł ofiarą swego poświęcenia. Cześć pamięci zgasłego męża, który przypominał nam czynem odważnym imiona *Kościelickiego* i *Bonara* z czasów *Jagiellońskich*; tamci szczęśliwsi, uszli cało z podziemi, z pośród ognia i dymu, gdy *Windakiewicz* życiem przypłacił swoje bohaterskie poświęcenie.

K.

## U OGNISKA.

### II.

Karnawał powoli, spokojnie, cicho jak księżyc w mroźną noc zimową przechodzi swoją pierwszą kwadrę.

Nikt się jeszcze nie bawi, nie szaleje, nie hula. Maskarady doszły do swej uprzywilejowanej trzeciej reduktowej przechadzki; z początku puste, nieludne, — wypełniły się na ostatniej tłumem różnokolorowym, na którym niearlekińska jakaś centka czy lata — czarnych barw, męskich fraków i czarnych kobiecych jedwabnych domin — *dominowała*. Zabawa w niej żadna, urok żaden, werwa i życie żadne. Moralnie i materyalnie była sztywną, nudną, konwenansową, jak każdy zwyczaj bez tradycyi. Larwy i maski, łączą się u nas z *kuligiem*, z saniami jak błyskawice przeslizgującami się, z brzękiem, dźwiękiem, hałasem, wrzawą i ogniem cechującym starszylacheckie społeczeństwo. Dziś tego wszystkiego nie ma i maskarada nie ma racyi bytu. Śmietanka światowców wypiera się jej, poważne i rozumne mieszczaństwo znać jej nie chce — zaledwie parę tysięcy próżniaków i trochę mniej *próżniaczek*, chce ją utrzymać koniecznie, ożywiając dowcipem... Ale jak na złość i *dowcip* ulotnił się z towarzyskiego życia, i buja gdzieś w satyrycznej sferze niespodzianek, któremi od niechcenia, od czasu do czasu, sypie z rogu obfitości humorystycznych żartów, *niezawsze wesoły* ale często złośliwy „*Kuryer Świąteczny*”. Ah! bo przy wyliczaniu

tego czego już nie ma i co już z pewnością tak łatwo nie powróci — w smutnym braku rejestrze — zapisać należy i... wesołość.

Wesołość przeszła, upadła, umarła. Nie można zaś o niej powiedzieć jak o starych francuzkich dynastyach: *«le roi est mort, vive le roi!»* Zabiło ją tysiąc rzeczy, a między innemi... doświadczenie.

O, doświadczenie! ty jesteś panczerem  
Dla piersi, w której serce nie uderza;  
Jesteś latarnią nad morskim wybrzeżem  
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza;  
O! doświadczenie! jesteś ciepłym pierzem  
Dla samolubów; — tyś gwiazdą rycerza,  
Bawelną w uszach od ludzkiego jęku...  
Dla mnie wśród ciemnej nocy — świecą w rękę.

Otóż z ową świecą, lepiej aniżeli z *Dyogenesową* latarką, widzieć można sprawy bieżące. Słowo poety, który wiele przeczuł, daje jej błyski dalej w ciemność dzisiejszą sięgające od promieni... w skromny wachlarzyk rozwijającego się płomienia... naszych gazowych latarni. Ujawszy ją w dłonie, widzi się dużo ponurego i chmurnego smutku, który jak pleśń osiada, kalając swoją brudną zielenią, ciało społeczne. Ludzie biją o mur głową, a tacy co go przebić nie są wstanie i przez wyłom wejść do królestwa... zbytku i użycia, wnet sięgają po broń morderezą i *rozpacznym* czynem kończą życie chore.







biet. Każda z uczennic, po opuszczeniu z rzędu trzech lekcji, obowiązana jest niezwłocznie zawiadomić Zakład o przyczynie niebytności swej na wykładach. Kandydatki zapisane na mający rozpocząć się kurs rzemiosła lub nauki, jeśli po upływie 3-ch miesięcy kurs nie został otwarty, lub komplet uczennic nie zebrany, — mogą odebrać wniesioną opłatę.

Po tej suchej cytacji przepisów, która jednakże niemało interesować może czytelniczki «Ogniska», a nas przedewszystkiem pociesza jasnością kilku pierwszych wyrażań, które określają wyraźnie charakter zakładu, nazywając go «zatwierdzoną przez Rząd» szkołą rękodzielniczo-przemysłową, śpieszymy dalej, wkładając w naszemu sprawozdawczemu opowiadaniu faktu wyższego znaczenia z kronikarskimi *drobiazgami*, które nieraz są tak drobnymi i lichymi jak przedstawiona w Teatrze Rozmaitości przed kilkoma dniami jednoaktowa krotoczwila, nosząca tytuł «**Nr. 13**». Widocznie, ta cyfra przez przesąd uznana za nieszczęśliwą, nieszczęśliwie stała się ciemną plamką na repertuarowym firmamencie tegorocznego sezonu teatralnego, układanego i wybieranego dotąd pomyślnie ze sztuk zasługujących na pochwały, przynajmniej ze względu na moralną ich doniosłość. Niesmaczna i niezgrabna, błaha treścią i niewłaściwa na naszej scenie, utonie zapewne wkrótce w zapomnieniu, a jeśli tu o niej wzmiankowaliśmy, to tylko dla tego ażeby przestrzedz grono czytelniczek naszych, że niekażda *bluetka* francuzka bywa *blawatkiem* godnym przesadzenia na urodzajny grunt naszego życia społecznego; że często sceniczne kwiatki nadsekwańskiej teatralnej flory, stają się u nas chwastem godnym wyrwania z pola, dzielnie i serdecznie uprawianego przez nowoczesnych, polskich pisarzy dramatycznych.

Zresztą i tym razem liczymy najwięcej na zdrowy sąd o rzeczy naszych pań, które w ostatnim latu dziesiątku zdobyły sobie ową szlachetną stronę życiowego i towarzyskiego *doświadczenia*, tak genialnie określonego przez Słowackiego, w *oktawie*, którą przytoczyliśmy powyżej, w naszej dzisiejszej gawędzie. Kobieta bowiem, jej wychowanie, charakter i wykształcenie umysłowe, w oczach naszych, są najlepszym obrazem danego społeczeństwa. Znając matkę, żonę, siostrę i córkę, któż niezdolą wyrobić sobie wybornego pojęcia o ojcu, mężu, bracie i synu, a jednak... szczerze przyznajmy się, bijąc się w piersi, wszystkie cnoty nasze winni jesteśmy naszym kobietom, wady zaś jakie one mają, sami w nie zaszczepiliśmy, przywołując je z obcych i dalekich stron świata. Dlatego też cudzoziemiec, któryby nas osądził, poznawszy dobrze piękniejszą połowę naszego rodu i rasy, mógłby się strasznie pomylić. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie: my, brzydka połowa rodzaju, w massie, wywołując się dość często *za granicę*, nie robimy *złego efektu*. Jakoż *trzymamy* się przyzwoicie i mamy reputację «północnych francuzów» tak jak zachodni — dystygowani, do wciplnych i miłych. Przechodząc nawet do obcych literatur, jeśli nie wpadniemy w ręce paszkwiliistów, którzy *kichając* wymawiają nasze nazwiska, to zwykle obcy powieściopisarze robią z nas typy wcale szlachetne, bohaterskie nawet, chociaż czasem pełne słabości, jak *Bolski*. W ogólności dość sympatycznie pojmowani jesteśmy i rzadko kiedy ujemnie przedstawiani, zwłaszcza kiedy ci co nas podają gwoździ zabawie publicznej w romansie lub nowelli,

nie są na wzór *Sacher-Masocha* zapamiętałymi *Polen-fresserami*.

Z kobietami naszymi rzecz się ma przeciwnie. Żadna obca belletrystyczna literatura, nie oddała im należytej sprawiedliwości, a nawet tak bezstronne pióro jak Alexandra Dumas'a (syna), tego znakomitego *niemoralisty* jak go jeden z francuzkich felietonistów nazwał, pograżyło niewiastę polską w jakąś zmysłową i paradoxalną otchłań zepsucia, przez którą *wyjątkowe* tylko osoby z najwyższego towarzystwa przechodziły w *czyszcowej* lub *piekielnej* wędrówce po obczyźnie. Już to co prawda, żadna z kobiet naszych nie jest w stanie być Dantem idącym dumnie i czysto przez płomienie piekielnych czeluści; — ale czyż i w tym razie nie nasza głównie wina? — Cemu nie chcemy jak Wirgiliusz kochający, służyć im w takich podróżach za przewodnika? Co nam po tem! Wszakże wiecznie nie możemy wybrnąć ze starych przyzwyczajęń, z dziecinnej ufności i zarozumiałstwa. Dajemy się za nos wodzić, ale «prowadzić» kogoś nie naszą jest rzeczą. Ztąd, kto nam zawierzy i dłoń swoją na naszym ramieniu oprze, potyka się a nawet często upada. Zresztą panie nasze, w dziejowym przebiegu wypadków, chociaż prawie zawsze dobrze rozumiały wyższość swoją, nie chciały gnębić nas przemocą i kaprysem, a jeśli rządziły nami, to z dobroliwością królów-pasterzy. Jeśli energicznie kiedy niekiedy byliśmy przez nie popchnięci, to tylko w nadzwyczajnych jakichś wypadkach, kiedy czuły potrzebę wyprowadzenia nas z wątpliwego jakiegoś położenia lub z niebezpieczeństwa zagrażającego naszemu honorowi. Za dowód posłużyć może Trembo-wła i tyle innych faktów, które wliczać byłoby to niezgrabnem przypomnieniem że «królowa Bona umarła» lub «że wszystko musi mieć swój koniec» nawet najdłuższy felieton.

Dziwny bo to rzeczywiście rodzaj pisarski ten *rodzaj odcinkowy*, który tak mało praw obywatelskich w piśmiennictwie naszym zdobył sobie, że dotąd nawet nie został polską nazwą ochrzczonej a pomimo to wszędzie się wdziera, wszędzie gospodaruje, jak owa przysłowio-wa *szara gęś*. Podobnym jest do roślin pasożytnych lub pnących się, które czepiają się lub oplatają każdy mur piętrzący się, w obłoki. Wyrasta na głazie, na cegle.. i na tych małych nieurodzajnych pustyniach z kamienia, wypalanej gliny, wapna i piasku, rozściela oazy zieloności. Strzela w górę kwiatem stylowym... a znużone i ziewające grono czytelników... smakoszy ze spalonym podniebieniem... nazywa go kwiatkiem dziennikarstwa i publicystyki przeglądowej, ilustruje on bowiem pieprzno i słono epokę pośpiechu i zamięłowania w *drobiazgach* i *redukcjach*. «Redukuje» też zapamiętałe — do form miniaturowych w sobie — wszystko co wyższe, znakomitsze, wspanialsze. Wenus z Milo przekształca się w nim na figurkę etażerkową, piramidy i sfinksy egipskie stają na kominku jako ozdoby marmurowych ram ogniska, *Kolumna* Trajana, zmniejszona do kształtów stolikowych, nie jest już *niebios* lecz zaledwie buduarów *śpiewaczką*, a Panteon, sztucznym ogniem bengalskich świateł skopiony, jak na rzymskiej *girandoli*, jest to tylko...

.....Fajerwerk z słów kilku tysięcy,

Co ma precudnie spłonąć i — nie więcej.

TREŚĆ NUMERU: Mówią mi... wiersz przez M. B. — Z kroniki rodziny ziemiańskiej, p. K. W. Wójcickiego (c. d.) — Szkice z dziejów i estetyki ogrodnictwa (c. d.) — Rozprawy o małżeństwie i wychowaniu, p. W. Chomętowskiego (c. d.) — Pożar w Bochni, przez K. — U ogniska. — W dodatku: Najważniejsze odkrycia i wynalazki, według L. Figuiera — ark. 3.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11.

Redaktor i Wydawca Jan Noskowski.